

Szafarnia,

3 września 1824 roku

## Spektakl

Wrześniowe słońce nie zdążyło jeszcze zniknąć za horyzontem, a w powietrzu unosiły się wciąż ostatnie melodie owadów. Bezwietrzny chłód letniego, wolno gasnącego wieczoru przynosił orzeźwienie i ulgę. Trawiasta droga przecinająca rozległe pola pszenicy wydawała się o wiele dłuższa niż zazwyczaj. Fryderyk, mimo adoracji okoliczności przyrody, postanowił przyspieszyć tempa, w obawie, że spóźni się na kolację. Ludwika miała w zwyczaju przywiązywać dużą wagę do kwestii takich jak pory posiłków. Było to zbyt przyziemne, by zaprzętać głowę młodego muzyka, jednak starał się stosować do rad opiekunki i jeść regularnie. Mając w pamięci zeszły tydzień, kiedy musiał wypić zimną kawę żołądźkową, która czekała na niego półtorej godziny, jako człowiek potrafiący wyciągać wnioski ze swoich błędów, postawił sobie za cel dotarcie do Szafarni na czas. Co parę chwil spoglądał na sznurówkę lewego, wytartego buta, która złośliwie rozluźniała węzeł niedbalej kokardy z każdym kolejnym krokiem. Stwierdził jednak, że nietaktem byłoby zignorowanie tak pięknych okoliczności przyrody i zamiast zatrzymać się i zawiązać but, postanowił nie tracić czasu i podziwiać naturę dynamicznie – pół minuty patrzenia w sznurowadła zdawało się zbyt cenne w kontekście ulotnego zachodu słońca.

Przymknął powieki, nieznacznie zadarł podbródek i pozwolił bladym promieniom z czułością opaść na swoją twarz. Nieśmiałe ciepło rozlewające się po jego policzkach wywołało nostalgiczny uśmiech. Wiedział bowiem, że wakacje dobiegają końca i będzie musiał pożegnać się z Szafarnią, a rozłąka przeciągnie się co najmniej do następnego lata. Wziął głęboki oddech, a rześkie powietrze natychmiast zalało mu płuca. Niemal zachłyszawszy się dużym haustem, otworzył oczy i zaśmiał się ze swojej pazerności. Jest to bez wątpienia jeden z wieczorów, które chciałoby się przeciągać w nieskończoność, pełen tęsknoty za czymś, co nigdy nie powróci. Biorąc wdech najczystszej powietrza, należy się liczyć z koniecznością wypuszczenia go już po krótkiej chwili. Cykliczność i przemijanie to stany, które nieuchronnie przypominały Fryderykowi o kolejnym przeżytym roku. Starzenie się, choroby, czy śmierć nie czują się w obowiązku informować nas o swoich poczynaniach, toteż sama świadomość ich istnienia zaburza poczucie bezpieczeństwa, tak silnie związanego z tym, co znane i przewidywalne. Wreszcie polna droga, niosąca dziś jednego rozmarzonego pasażera, również musiała się kiedyś skończyć. Mimo tego, że dobrze mu znana, dziś dostarczyła niezapomnianych wrażeń.

Fryderyk, idąc zamyślony, zorientował się, że dotarł do Białkowa. Dostrzegł rozwidlenie, a przy nim garstkę ludzi ustawionych w półokręgu. Zmrużył oczy, co pozwoliło

mu lepiej ocenić sytuację, mimo że nadal znajdował się w znacznej odległości od zebranych. Nie był w stanie rozpoznać wyrazów ich twarzy, jednak obraz był na tyle wyraźny, by wywołać w młodzieńcu uczucie niepokoju. Nerwowe pokrzykiwania pozwoliły mu stwierdzić, że stało się coś niedobrego. Pierwszą myślą był wypadek, może zawał, udar, złamanie? Zbiorowisko zdawało się być kompletnie bezradne, gdyż mimo przestępowania z nogi na nogę i chwytania się za głowy nikt nie przyklęknął przy potencjalnym poszkodowanym. Fryderyk, zawierając swojej wyobraźni puścił się biegiem w kierunku dziwnego tłumu, wierząc, że jest w stanie pomóc. Biegając co sił w nogach, patrzył przed siebie, gdy nagle poczuł silne szarpnięcie i niespodziewanie runął na ziemię. Ze względu na wcześniejszą prędkość, lądowanie zakończyło się kilkoma fikołkami niejako amortyzującymi upadek. Zdezorientowany, łapiąc oddech, podniósł się energicznie do pozycji siedzącej, starając się zlokalizować winowajcę jego nieszczęśliwego wypadku. Już po chwili wytypował jako głównego podejrzanego rozwiązana sznurówkę, w którą, w ramach kary, wpatrywał się gniewnie, ta jednak pozostała niewzruszona, zdawała się nonszalancko wygrzewać w ostatnich promieniach słońca niczym zadowolona żmija. Wziął głęboki oddech, zawiązał but na podwójny węzeł i podniósł się z ziemi. Otrzeputując ubrania z suchej trawy, straciwszy zaufanie do własnych nóg, stanowczymi krokami, wolniej, lecz z jeszcze większą determinacją szedł w kierunku zbiorowiska.

Już po chwili znajdował się na tyle blisko, by zauważyć powód zebrania. Gdy Fryderyk zorientował się, na co patrzy, nie był w stanie zrobić ani kroku dalej. Kolana i stopy zdawały się przemienić w bryły ołowiu, a powieki odmówiły posłuszeństwa, nie chcąc się zamknąć, zmuszając właściciela do stania się jednym z widzów krwawego spektaklu. Nie był to z pewnością udar, ani zawał... najprawdopodobniej parę złamań. W centrum uwagi gapiów nie znajdował się jednak człowiek w potrzebie, a para zdziczałych z głodu zwierząt. Oba wyciągnięte rodem z horroru. Na pierwszym planie widniało futro kota, pozlepiane krwią na takiej powierzchni, że trudno było ocenić kolor jego sierści. Kot z przegryzionym uchem i otwartą raną na szyi kucał z pyskiem blisko ziemi i oczami wbitymi wściekle w rywala – małego psa, przypominającego szpic. Pies miał wydrapane oczy, w agonii i panice skomlał i kręcił się w kółko. Pomiędzy nimi leżał niewielki kawałek mięsa. Fryderyk miał wątpliwą przyjemność bycia świadkiem ostatniego aktu. Szkarłatny kot z niemałą trudnością dał długiego susa i wgrzył się w gardło ślepego zwierzęcia, tym samym pozbawiając go dopływu powietrza. Po chwili pies przestał się szamotać, a zwycięzca, oddychając ciężko i powłócząc łapami,

podszedł do swojego trofeum, jednak nie miał wystarczająco siły, by podnieść mięso z ziemi. Zamiast tego zachwiał się, zamiauczał płacząco i położył się obok zdobyczy. Żaden z gapiów nie odezwał się, wszyscy ze wstrzymanym oddechem wpatrywali się intensywnie w leżącego na drodze kota. Był w stanie agonalnym. Po chwili jego boki przestały unosić się miarowo. Kot odszedł... Ludzie postali jeszcze chwilę, Fryderyk razem z nimi, po czym rozeszli się bez słowa.

Niebo poszarzało, zbliżał się zmierzch. Resztę drogi do rezydencji Dominika Dziewanowskiego Fryderyk przeszedł w pełnym odrętwieniu. Szok wypełnił jego głowę poczuciem winy, współczucia i smutku. Podniósł oczy i spojrzał przed siebie dopiero, gdy wchodził po schodach. Delikatnie otworzył drzwi.

Ludwika czekała już przy stole, naprzeciwko niej stała filiżanka zimnej kawy.

– Dobrze, że już jesteś. – odetchnęła z ulgą kobieta – Martwiłam się, mówię, może się zgubił, robi się ciemno a...

Widząc minę Fryderyka, opiekunka przerwała wypowiedź i patrzyła przez długi moment na przestraszonego chłopca.

– Usiądź, zaparzę ci świeżej kawy, powiedziała szybko, po czym zacisnęła usta i wstała od stołu. Fryderyk wypełnił polecenie i głośno odsunął krzesło. Siedząc przy stole, przywołał dramatyczne wydarzenie i przyglądając się intensywnie swoim dłoniom, zadawał sobie wiele pytań. Czy gdyby dotarł wcześniej na miejsce zdarzenia byłby na tyle odważny, by przerwać walkę i pomóc zwierzętom? Dlaczego nikt ich nie rozdzielił? Czy ciekawość, które zwierzę wygra była na tyle duża, że całkowicie zabiła w ludziach empatię. W końcu okrucieństwo, konflikty i przemoc zawsze były na pierwszych stronach gazet.

Falę przemyśleń przerwał dźwięk filiżanki stawianej na stół. Ludwika pochyliła się w jego stronę, kładąc dłoń na jego ramieniu, odparła:

– Wypij, rozgrzej się, a potem możemy o tym porozmawiać.

Uśmiechnęła się delikatnie, patrząc mu w oczy, ścisnęła pokrzepiająco za ramię, po czym poklepała je i usiadła po drugiej stronie stołu. Zapaliła świecę, Fryderyk bacznie jej się przyglądał. Zastanawiał się, czy są takie pytania, na które nawet dorośli nie znają odpowiedzi. Miał przeczucie, że jeśli takie istnieją, to, które martwiło go najbardziej, z pewnością będzie jednym z nich.

JAN Bogusławski